

Tematy tygodnia

- 10 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Cham uwznioślony
- 13 Artur Domosławski
Sportowe Rio
- 16 Violetta Krasnowska
**Prawicowa szarpanina
o publiczne media**

13



Brazylia na sportowo

Społeczeństwo

- 19 Ewa Wilk
**Społeczeństwo
obywatelskie według PiS**
- 22 Czego matki uczą córki,
a do czego wychowują synów
– rozmowa z **Katarzyną
Pawlikowską**
- 26 Tadeusz Markiewicz
**Prorosyjscy narodowcy
w Przemyślu**
- 29 Edyta Gietka
Bliźniak kazirodca
- 32 Arkadiusz Nadobny
Celnicy się przeliczyli
- 34 Violetta Krasnowska
Procesowi rekordziści

16



Dojne media publiczne

Rynek

- 36 Ryszarda Socha
**Hiszpańskie
fantasmagorie
nad Bałtykiem**
- 39 Rafał Woś
**Korporacje silniejsze
niż państwa**

22



Pogrzeb matki Polki

Świat

- 42 Maciej Okraszewski JAPONIA
Cesarz chciałby abdykować
- 45 Jędrzej Winiński RPA
Przełomowe wybory
- 48 Piotr Zalewski TURCJA **Jak się
żyje w stanie wyjątkowym**

36



Dubaje nad Bałtykiem

Historia

- 50 Justyna Prus
**Pucz sierpniowy
przyspieszył koniec ZSRR**
- 53 Adam Krzemiński ESEJ
Rok 1926

Nauka

- 56 Marcin Rotkiewicz
**Afryka:
GMO albo głód**
- 59 Agnieszka Krzemińska
Wyczytane z tatuażu

Kultura

- 66 Marcin Zwierchowski
**Serial „Stranger Things”
przebojem wakacji**
- 69 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 70 Aleksandra Żelazińska
Instytut prawych książek
- 74 Rozmowa z reżyserem filmu
„Komuna” **Thomasem
Vinterbergiem** o potrzebie
wspólnego życia,
nostalgii i alkoholu
- 76 Piotr Sarzyński
Sztuka chorej duszy

Ludzie i style

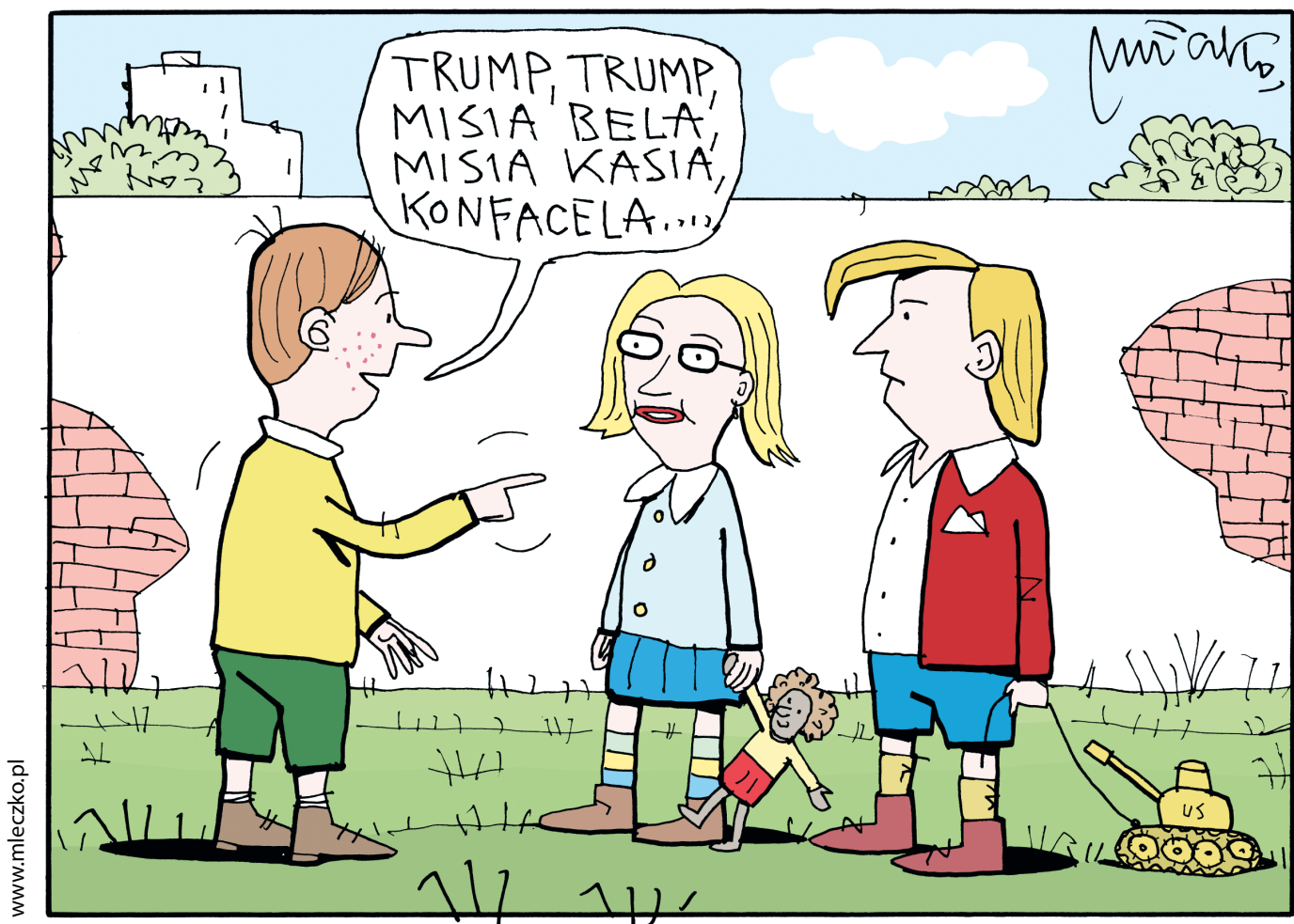
- 80 Andrzej Czerniawski
**Rzemieślnikiem być,
choćby w weekend**
- 84 Marcin Piątek
Polska szkoła dopingu

Na własne oczy

- 92 Wojciech Śmieja
fotografie Jakub Bonikowski
i Wojciech Śmieja
Polarna sahara

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 62 Afisz • 86 Passent
- 88 Hartman • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy • 98 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

O uprawianiu współżycia w teatrze

Jest wiele tematów, które można by poruszyć w teatrze, problem w tym, że zamiast nich porusza się tematy, które, jak się okazuje, w ogóle w teatrze nie powinny być poruszane. „Od dłuższego czasu obserwuję działania Teatru Powszechnego. Bez przerwy dyskutuje się tam o kwestiach dotyczących mniejszości: uchodźcy, multi-kulti, LGTB. Teatr publiczny nie jest miejscem do poruszania tego typu tematów” – przekazuje radny M. Borkowski z PiS w interpelacji do burmistrza dzielnicy Praga Południe.

Uzasadniony niepokój radnego wywołało spotkanie z cyklu „Seks w Ogrodzie (Powszechnym)”, na którym gość specjalny – berlińska didżejka Ipek Ipekcioglu – opowiadała o seksualności z perspektywy kraju, w którym od dziesięcioleci współżycją ze sobą rozmaite kultury i religie. „Mieszkańcy pytają mnie, czy to są właściwe tematy, którymi powinna zajmować się instytucja kultury w Warszawie” – pisze radny, w opinii którego teatralna oferta powinna być kierowana „do szerokiego grona mieszkańców, z których nie wszyscy są homoseksualistami”. Rozumiem niesmak, jaki u radnego PiS i części mieszkańców wywołują rozmowy o współżyciu różnych kultur. Na wspomnianym spotkaniu nie byłem, ale jestem pewien, że berlińska didżejka nie oszczędziła słuchaczom drastycznych szczegółów dotyczących

tęgo współżycia. Zgadzam się z radnym Borkowskim, że jeśli już do współżycia doszło, to trudno, ale po co zaraz mówić o tym w teatrze, i to pod hasłem „Seks w Ogrodzie”?

Temat uprawiania szeroko pojętego współżycia coraz częściej bywa dziś tematem politycznym. Niedawno jeden z lewicowo-liberalnych portali oskarżył o skłonność do uprawiania seksu starsze osoby słuchające Radia Maryja, co moim zdaniem jest zarzutem obrzydliwym i wymierzonym w wyznawane przez te osoby wartości. Zdarzają się ataki idące jeszcze dalej. Np. bohaterem wystawianej w stolicy sztuki „Polska krew” jest podobno członek PiS, który z powodu swojej przynależności partyjnej stał się impotentem, w wyniku czego nie jest w stanie zaspokoić żony – lubieżnej antysemitki spod Tarnowa.

Powiem szczerze: moim zdaniem bohater – chociaż pisowiec – robi słusznie, że nie zaspokaja żony, która będąc członkinią ONR, po prostu na to nie zasługuje. Sztuki nie widziałem, ale uważam, że jej zaletą jest pokazanie, do czego może człowieka doprowadzić popieranie PiS. Jej słabością jest natomiast to, że bohater nie wiadomo dlaczego do samego końca nie dostrzega związku pomiędzy swoją impotencją a przynależnością partyjną, mimo że jest on oczywisty nie tylko dla reżysera, ale nawet dla niezbyt rozgarniętego widza. Jestem przekonany, że w rzeczywistości taki bohater już dawno by się ogarnął, wystąpił z PiS i poszedł na marsz KOD, na którym poznałby kogoś zasługującego na to, aby go w pełni zaspokoić.





Igrzyska XXXI Olimpiady
RIO 2016
5-21 sierpnia

Olimpijczycy,
zdobywajcie świat!
Dla siebie, dla nas, dla Polski.

KOMENTARZ

Tylko skinać głową



Marek Ostrowski

Trybunał Konstytucyjny to, jak mówią, sąd bez sakiewki i bez miecza, czyli z coraz skromniejszym budżetem i bez możliwości egzekwowania swoich wyroków. Opiera się tylko na autorytecie konstytucji i szacunku wolnych obywateli. W ubiegłym tygodniu znów odparł szturm rządu, który dąży do pozbawienia go jakiegokolwiek znaczenia. Uznał za niekonstytucyjną część przepisów nowej ustawy o TK. Ale PiS zapowiada kolejną „ustawę naprawczą”; i tak, kawałek po kawałku, możliwości osaczanego przez władzę sądu konstytucyjnego będą ograniczane, a proceduralne możliwości obrony coraz mniejsze. Mój sąsiad w Warszawie, Anglik z pochodzenia, wykształcony i rozważny, zatroskany losem Polski, ubolewał, że w sprawie TK rząd i opozycja spierają się o *technicalities*, jak powie dział, czyli formalności, jakieś szczegóły procedury. Znaczna część inteligencji ma podobne nastawienie: co to za różnica – liczba sędziów, kolejność rozpatrywania spraw, taki czy inny prezes?

To całkowite nieporozumienie. Tego, że nie chodzi o żadne *technicalities*, lecz o ustrój kraju, najlepiej, choć być może nieświadomie, dowiódł Zbigniew Jędrzejewski, wybrany przez PiS nowy sędzia. W zdaniu odrębnym nie zgodził się z ostatnim wyrokiem, argumentując, że Trybunał nie może się opierać na wyrokach niepublikowanych. Nie ma publikacji – głosił w skrócie – to i nie ma skutku prawnego. Inaczej mówiąc, sędzia sam się pozbawia swoich uprawnień. Mówi głośno: wprawdzie to ja wydaję wyrok, ale będzie on ważny tylko wtedy, kiedy go opublikuje, czyli zatwierdzi rząd, a w praktyce jeszcze wyższa władza – prezes Jarosław Kaczyński. Ten w wywiadzie prasowym, jeszcze przed orzeczeniem TK, zapowiedział z góry, że publikacji wyroku nie będzie, czyli z rozbijającą szczerością przypisał sobie władzę sądowniczą.

W Polsce zdarzyła się rzecz niemająca nigdzie w Europie precedensu: rząd publicznie odmawia publikacji i poszanowania wyroków sądowych. I sam sędzia wyraża zgodę, by to rząd, a nie on, rozstrzygał spory. Już widać, że PiS wybierze więcej takich sędziów, a zapewne także swojego prezesa TK, bo nowy sposób jego wyboru, bardziej korzystny dla PiS, nie został w ostatnim wyroku zakwestionowany przez TK (opozycja złożyła w tej sprawie nową skargę). Powtarzamy więc po raz już nie wiadomo który: w Polsce łamie się zasadę podziału władz. Podział na władzę ustawodawczą, wykonawczą i odrębną, niezawisłą władzę sądowniczą nie jest jakąś ciekawostką organizacyjną, lecz broni słabszego z natury rzeczy obywatela przed samowolą potężniejszej od niego władzy. Władza ta robi, co chce w mediach, prokuraturze, w służbie cywilnej.

Niezliczone gremia prawnicze stwierdzają łamanie praworządności w Polsce. Powinno to zaalarmować wszystkich obywateli, tymczasem rodzi oburzenie i bezradność mniejszości i obojętność większości. Autorzy piszący w różnych czasach o upadku cywilizacji zwracają uwagę na skutki braku reakcji na bezprawie aż do momentu, kiedy jest za późno. Lewicowy pisarz Arthur Koestler obserwował bezradnie narastanie dyktatury w Niemczech w latach 30. Wyglądało to jak stanie w poczekalni przed egzekucją. Koestler przytacza opowieść o Wang Lunie, sławnym kacie z dynastii Ming, którego ambicją było tak ostre i błyskawiczne ścięcie głowy, by ofiara tego nie zauważyła. Toteż pewnego dnia skazaniec już ścięty zgłosił pretensję do kata, że zwłóczy z egzekucją i tylko przedłuża jego mękę. Wtedy Wang Lun odparł: „Proszę tylko skinać głową”. Ta historia się u nas powtórzy?



© GETTY

Turysto, masz prawa

Biuro podróży nie wypełniło obietnic? Hotel nie taki, a basen brudny? Możesz odzyskać przynajmniej część pieniędzy za zepsute wakacje.

Z badań Ipsos dla firmy Mondial Assistance wynika, że na tegoroczne wakacje wyjedzie prawie co drugi Polak (55 proc. badanych). Jedna czwarta z nich (27 proc.) zaplanowała wyjazd za granicę. By wakacyjny wypoczynek był źródłem przyjemności, a nie stresu, warto wiedzieć, jakie przysługują nam prawa i jak w razie ewentualnych kłopotów możemy je egzekwować.

Osoby, które wykupują wyjazd zorganizowany (co najmniej transport i zakwaterowanie w czasie dłuższym niż 24 godziny w ramach jednej ceny), powinny być świadome, że jego koszt, bez względu na okoliczności, nie może się zmienić później niż 20 dni przed planowanym wyjazdem, a wcześniej tylko jeśli zajdą szczególne okoliczności (np. wzrost opłat transportowych lub lotniskowych, kursu walut, podatków). Gdy stwierdzimy nieprawidłowości już na miejscu pobytu, powinniśmy zgłosić je do przedstawiciela organizatora (rezydent) lub jeśli nie ma go na miejscu zdarzenia – osobiście lub listownie (za potwierdzeniem odbioru) w ciągu 30 dni od zakończenia imprezy. Małgorzata Cieloch z Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów zwraca uwagę, by wszelkie zastrzeżenia od razu dokumentować: – *Zdjęcia i kontakty do ewentualnych świadków są w procesie reklamacji niezwykle cenne*. Jeżeli w ciągu 30 dni nie otrzymamy odpowiedzi na złożoną skargę, reklamację uznaje się za rozpatrzoną pozytywnie.

Wrazie problemów z oszacowaniem ewentualnego odszkodowania warto zapoznać się z tzw. tabelą frankfurcką (bez trudu można ją znaleźć w sieci), która określa, jaki procent bonifikaty możemy uzyskać za poniesione straty. Mimo że funkcjonuje ona w Niemczech, zwyczajowo stosują ją też polskie biura podróży, a nawet sądy. I tak np. monotony jadłospis oszacowano na 5 proc. zniżki, brak basenu lub brudny basen 10–20 proc., a całkowity brak wyżywienia (jeśli było zagwarantowane) nawet 50 proc. ceny wyjazdu. Jeżeli niepokoją nas pewne zapisy w umowie, możemy przed jej podpisaniem skontaktować się z Urzędem Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który zbada jej zgodność z obowiązującymi przepisami i w razie nieprawidłowości może zastosować wobec nieuczciwego biura podróży pewne środki nacisku.

Po pomoc w zgłoszeniu reklamacji po powrocie z wyjazdu możemy się zaś zgłosić do najbliższego oddziału Federacji Konsumentów. Turyści, którzy organizują wyjazd zagraniczny na własną rękę (do jednego z państw UE, Islandii i Norwegii), mogą skorzystać bezpłatnie z pomocy Europejskiego Centrum Konsumentckiego. Ma ono swoje placówki we wszystkich wymienionych krajach i służy pomocą w złożeniu reklamacji za granicą, a w razie jej odrzucenia stara się doprowadzić do polubownego rozwiązania sporu. (A. DOB.)

W tym miejscu przez ostatnie lata pojawiały się felietony Janiny Paradowskiej – „Tydzień w polityce”. Po jej śmierci postanowiliśmy zachować charakter tej strony w naszym tygodniku, a jako autorów zaprosiliśmy osoby, które Janka dobrze знаła, ceniła ich opinie, lubiła z nimi rozmawiać; będą się tu cyklicznie pojawiać. Tę rubrykę, w nowej odsłonie, dedykujemy pamięci naszej Koleżanki.



Chadecja to nie endecja

Zaufanie w Polsce zyska partia oparta na chrześcijaństwie, ale niezależna od hierarchii kościelnej i niewkręcająca Kościoła w politykę.

Często zastanawiam się, jaka w ogóle jest możliwość rozmawiania z drugą stroną sceny politycznej? Dziś najwygodniejszą płaszczyzną są media społecznościowe, ale panoszą się tam trolle, które utrudniają wymianę opinii. Debaty radiowe i telewizyjne też do niczego nie prowadzą. Tymczasem rów dzielący Polaków pogłębia się szybko i ze strachem obserwuję, że przestrzeni wspólnej jest coraz mniej. Aż tu nagle szef mojej partii Grzegorz Schetyna udzielił wywiadu prawnicowemu tygodnikowi „Do Rzeczy”. I zahuczało.

Rozmowa przewodniczącego największej i walczącej o swoją wyrazistość partii opozycyjnej z rozchichotanym i prowokacyjnym Markiem Migalskim („wybuch śmiechu prowadzącego wywiad”) umieszczona w piśmie słynącym z promowania „dobrej zmiany”, w dodatku z okładką obrażającą najważniejsze postaci polityki europejskiej, wywołała falę krytyki. To nie dziwi. Ale postaramy się zrozumieć intencje. Przecież nareszcie ktoś wychodzi poza zakłęty krąg swojego środowiska i zwraca się nie tylko do swojego elektoratu. Wątpię, żeby rozmowa z Migalskim sprawiała Schetynie przyjemność, ale przecież najpierw obowiązek. Tak też potraktowałam ten wywiad.

Przewodniczący mówi o opozycji: „Przykład węgierski pokazał, że skłócona ze sobą opozycja była bezradna wobec Orbána”, „opozycja musi być jak system naczyń połączonych”; o Mateuszu Kijowskim: „Wiem, że zrobił wielką rzecz, wielki krok, pobudził wiele tysięcy osób”; o Wałęsie: „Ja mam z nim dobre relacje. I będę je utrzymywał i wzmacniał”. Czytam i rozumiem, że musimy ze sobą współpracować blisko, mówić życzliwie i wspierać się wzajemnie. Dlatego też zapisałam się do KOD i namawiam do tego demokratów wszelkiej maści.

Przewodniczący Schetyna wspomina też o Donaldzie Tusku. Z szacunkiem zaznacza, że „zajmuje się naprawdę ważnymi kwestiami”: Unią po Brexicie, falą imigracji, porozumieniem z Erdoğanem. Oczywiście. Musimy utrzymać w Platformie mocny europejski kurs, nie tylko szanujący najważniejsze osoby i instytucje w Unii, ale również aktywnie i solidarnie uczestniczący w wielkim wspólnotowym projekcie. „Wystarczy zobaczyć, jakie szkody ponosimy dziś dlatego, że straciliśmy wpływ na politykę europejską, na politykę wschodnią” – mówi Schetyna. Statut chadeckiej Europejskiej Partii Ludowej, której członkiem jest PO, już na samym początku zaznacza „wspólną wolę stworzenia federalnej Unii Europejskiej”, czyli takiej, w której wiele kompetencji powierzamy instytucjom wspólnotowym. PO jest partią zdecydowanie proeuropejską.

Schetyna chce powrotu PO do korzeni. Pamiętam „trzech tenorów” Platformy: od konserwatywnego Płażyńskiego po liberalnego, stale poszukującego nowych lepszych rozwiązań, Tuska. Takiej partii dziś potrzeba w Polsce: konserwatywnej – czyli przewidywalnej, unikającej niepotrzebnych wstrząsów oraz rewolucji pociągających za sobą zniszczenia i koszty, i zarazem liberalnej – czyli ograniczają-

cej działalność i kontrolę państwa tylko do obszarów, w których jest ono niezastąpione i konieczne, mądrze uzupełniające niedostatki mechanizmów rynkowych. Potrzebujemy partii rozwijającej to, co udało się osiągnąć w III RP, i poprawiającej to, co nie do końca wyszło, jak np. budowa aktywnie i odpowiedzialnie uczestniczącego w życiu publicznym społeczeństwa obywatelskiego.

Partia liberalno-konserwatywna musi odwoływać się do szerokiego spektrum członków i wyborców, od tych, którzy są ostrożni i zachowawczy, po tych, którzy częściej chcą podnosić kotwicę, uruchamiać motor i pędzić do przodu (jak to powiedział Sławomir Nitras w „Rzeczpospolitej”), oraz zachęcać do żywej i twórczej dyskusji między nimi. Partia chadecka to taka, która jest mocno związana ze swoją europejską rodziną polityczną, prorynkową, ale zgodnie z nauką Kościoła wrażliwą społecznie, konserwującą to, co najlepsze i najważniejsze zarówno w naturze, jak i w kulturze i obyczajach.

Do tych obyczajów należy gościnność, a jeśli odnosimy się do chrześcijaństwa, to mówimy o miłosierdziu. A dzisiaj oznacza to choćby przyjmowanie uchodźców i opiekowanie się nimi. Zaufanie w Polsce zyska partia oparta na chrześcijaństwie, ale niezależna od hierarchii kościelnej i niewkręcająca Kościoła w politykę. Migalski wspomina w rozmowie lewicowe eksperymenty. Jakie? Rozdawnictwo pieniędzy? Wspieranie z naszych podatków państwowych nierentownych przedsiębiorstw często zatruwających wody i powietrze? To nie jest domena tych, którzy chcą jak najmniejszej ingerencji państwa, szanowania dziedzictwa, a wyrównywanie poziomu życia rozumieją jako stwarzanie szans na zrównoważony, trwały rozwój.

Co jest prawicowe, a co lewicowe, trudno powiedzieć, bo te pojęcia zmieniają swoją zawartość zależnie od czasu i sytuacji. Dziś prawicowość, zarówno polska, jak i europejska, jest przeważnie ksenofobiczna, nacjonalistyczna, agresywna, nienawistna, zamknięta i antychrześcijańska, co jest zaprzeczeniem wartości wyznawanych przez chadecję, więc i Platformie zapewne nie grozi. Ogromna większość PO opowiada się za prawami dla mniejszości oraz za związkami partnerskimi – i jest to wyraz szacunku dla drugiego człowieka, miłości bliźniego, co jest cechą zarówno chrześcijańską, jak i konserwatywną.

W takim liberalno-konserwatywnym kierunku chętnie idę i nie dlatego, żeby tam szukać wyborców, tylko dlatego, że jestem etosowcem i staram się uczestniczyć w sprawach, które są ważne, potrzebne, dobre, przyzwoite i trwałe. I tylko tak chcę rozumieć wywiad Grzegorza Schetyny.

Róża Thun – absolwentka filologii angielskiej, w PRL zaangażowana w działalność opozycji demokratycznej. W III RP działała w organizacjach pozarządowych – przede wszystkim na rzecz integracji europejskiej. Była związana z Unią Demokratyczną, następnie z Unią Wolności. W latach 2005–09 pełniła funkcję dyrektora Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Od dwóch kadencji z ramienia PO zasiada w europarlamencie.

Igrzyska Putina

Jest gorąco: w Nowym Jorku obradowała Rada Bezpieczeństwa ONZ, a tymczasem Rosja ulokowała na Krymie swój nowoczesny system rakietowy S 400 typu ziemia–powietrze i zapowiada zerwanie stosunków dyplomatycznych z Kijowem, jeśli kryzys wokół Krymu będzie się pogłębiał. Powodem jest oskarżenie Ukrainy o próbę wtargnięcia na teren bezprawnie anektowany przez Rosję w 2014 r. oraz śmierć dwóch oficerów FSB.

Rzekomą dywersję Kijowa ostro skomentował prezydent Władimir Putin, obiecując, że Rosja nie pozostawi sprawy bez odpowiedzi. Ogłosił też koniec rozmów pokojowych i uprzedził, że podczas szczytu G20, jaki ma się odbyć wkrótce w Chinach, nie będzie planowanego spotkania w formacie normandzkim – Ukraina, Rosja, Francja, Niemcy – dotyczącego sytuacji Donbasu.

Kijów i Moskwa znów na granicy wojny? Czy Putin kolejny raz wykorzysta czas kanikuły i olimpiady, żeby wkroczyć na terytorium Ukrainy, by połączyć korytarzem lądowym Krym z okupowaną przez prorosyjskich separatystów częścią Donbasu? Tę grę już przećwiczył: podczas igrzysk w Pekinie, kiedy Moskwa rozpoczęła wojnę z Gruzją. A dwa lata temu, gdy kończyły się olimpijskie zmagania w Soczi, słynne zielone ludziki wkraczały na Krym. Dziś sytuacja jeszcze bardziej sprzyja wojennym planom: szykująca się do wyborów Ameryka zajęta jest sobą, Unia zmagą się z kryzysem uchodźczym i Brexitem, zaś po nieudanym puczu w Turcji komplikuje się sytuacja NATO, którego Ankara była dotychczas jednym z filarów. Putin może się więc czuć bezkarny.



© ITAR-TASS/PAP

Sewastopol, parada z okazji Dnia Marynarki Wojennej

Wiadomo, że Ukraina, która wyrwała się spod kurateli Kremla, jest mu solą w oku i Moskwa próbuje zdestabilizować sytuację wewnętrzną i zewnętrzną oraz podważyć zaufanie międzynarodowe do Kijowa. Rosyjski prezydent ma więcej powodów, by rozpętać kolejną awanturę. W Rosji zbliżają się wybory do Dumy, prezydentowi zależy na umocnieniu pozycji własnego zaplecza, czyli partii Jedna Rosja. Zwłaszcza gdy w kraju coraz bardziej widać kryzys, a sankcje zachodnie zostały przedłużone, trzeba znaleźć wroga. Po aneksji Krymu notowania prezydenta były rekordy, teraz byłoby podobnie.

Niejasna jest też sytuacja na Kremlu: prezydent zdymisjonował niedawno kilku ważnych czynowników, a ostatnio, niespodziewanie, szefa administracji Siergieja Iwanowa, jednego z najbliższych współpracowników i najmocniejszych ludzi w Rosji. Czy awantura krymska ma odwrócić uwagę od tego, co naprawdę dzieje się wokół prezydenta?

Stany Zjednoczone wzywają do uspokojenia nastrojów, wiceprezydent Joe Biden zaapelował do obu stron, ostrzegając przed dalszą eskalacją. W podobnym duchu wypowiada się Bruksela. Ale Putin jest nieprzewidywalny.

JAGIENKA WILCZAK

Wojsko dało konstytucję

Miała być stabilizacja, wybuchły bomby. Niecały tydzień po referendum konstytucyjnym w Tajlandii odpalono ładunki wybuchowe w popularnych miejscowościach turystycznych, w tym na wyspie Phuket. Dlaczego akurat teraz, kiedy w kraju poprawia się sytuacja polityczna i gospodarcza? – pytał szef junty wojskowej i premier Prayuth Chan-ocha. Poprawa ma polegać na przyjęciu przygotowanego przez wojskową dyktaturę projektu nowej (dwudziestej z rzędu) konstytucji. I na szacunkach mówiących, że w tym roku ma Tajlandię odwiedzić ponad 30 mln turystów (10 proc. PKB Tajlandii generuje turystyka). Opozycja krytykowała projekt jako niedemokratyczny, gdyż



© AP/EAST NEWS

Phuket – po jednym z wybuchów

zabezpieczający polityczne wpływy wojskowych. Jednak przyjęła do wiadomości, że za projektem głosowało 61 proc. spośród 50 mln uprawnionych do głosowania (frekwencja 59 proc.). Nie miała wyboru, bo agitacja przeciwko projektowi była zakazana, a ludność oczekuje stabilizacji kraju

wstrząsanego i podzielonego od dekady konfliktami na tle politycznym.

Wostatnim dziesięcioleciu wojsko wiernie monarchii i elitom Bangkoku dwukrotnie obalało rządy populistów pod hasłem walki z korupcją władzy. Ale zwolennicy obalonych polityków nie zniknęli i głosowali przeciwko nowej konstytucji. Tak samo jak mieszkańcy południowych prowincji kraju, w większości muzułmanie (90 proc. ludności wyznaje buddyzm). To stamtąd rekrutują się separatyści, którym przypisywane są ostatnie zamachy bombowe. Tajlandia (Syjam) nie była nigdy pod zachodnimi rządami kolonialnymi. W 1932 r. przekształciła się z monarchii absolutnej w konstytucyjną. Obecny władca jest najdłużej panującym monarchą świata, dożywa swych dni. Junta obiecuje w pełni demokratyczne wybory parlamentarne do końca 2017 r. Ale czy można wierzyć w demokrację sterowaną przez wojskowych?

Gubernator spod żelaznej płyty

Yuriko Koike została gubernatorem Tokio, jest pierwszą kobietą rządzącą miastem. W głosowaniu powszechnym z przewagą ponad miliona głosów pokonała dwóch mężczyzn, w tym kolegę z prawicowej Partii Liberalno-Demokratycznej, którą porzuciła tuż przed wyborami. Zachowawczy Japończycy nie przywykli do kobiet na najwyższych stanowiskach w polityce i w biznesie. Owszem, zdarza się, że wybierają panie na gubernatorów, ale nigdy dotąd w stolicy, mieście z 13,6 mln mieszkańców i z rocznym budżetem równym szwedzkiemu. Sama 64-lletnia Koike jest zdania, że nad Japonkami wisi nie tyle szklany sufit, jak w społeczeństwach Zachodu nazywa się niewidzialną przeszkodę blokującą kobiecie awanse, ile płyta z żelaza, widoczna i dla pań niemal niemożliwa do przebicia.

Koike jest wyjątkiem, a jej kariera rozwijała się niestandardowo i kosztem życia osobistego. Ma dyplom z socjologii uniwersytetu w Kairze. Znajomość arabskiego (pracowała m.in. jako tłumaczka) przydała się, gdy jako dziennikarka telewizyjna



przeprowadzała wywiady z Kaddafim i Arafatem. Do polityki weszła w latach 90., przevinęła się przez szereg konserwatywnych ugrupowań, bywała ministrem, m.in. środowiska, oraz jako pierwsza kobieta w Japonii była ministrem obrony, próbowała przejąć władzę w swojej partii i zostać premierem.

Podziwia Hillary Clinton i Margaret Thatcher. Na pozycję Japonii w świecie i jej rolę w czasie drugiej wojny światowej ma poglądy wręcz jastrzębie. Jednocześnie jest zwolenniczką ekologicznych rozwiązań,

jako minister środowiska zachęcała rodaków, by oszczędzali energię, zakręcając klimatyzatory w upalne dni, a zamiast w foliowe torby zakupy zawiązywać w tobołki, używając tradycyjnych chust. Tokijczycy wybrali ją jako reformatorkę, która ma przygotować miasto do igrzysk w 2020 r. Przygotowania idą w rytm zwiększanych wydatków i skandali finansowych, które doprowadziły do rezygnacji dwóch poprzednich tokijskich gubernatorów.

O cesarzu, który chciałby abdykować – s. 42.

Walą goście, walą

W Grecji – wreszcie – euforia. W tym roku pęknie rekord 25 mln zagranicznych turystów, 1,5 mln gości więcej niż przed rokiem i o 20 proc. więcej dochodów, m.in. po podwyższeniu VAT w hotelarstwie z 6,5 do 13 proc. A branża turystyczna produkuje co czwarte euro PKB oraz zatrudnia co piątego Greka. Ten sukces odbył się kosztem sąsiedniego rywala, Turcji, pomógł też kryzys po afrykańskiej stronie Morza Śródziemnego.

Podobne nastroje panują u schyłku lata w Portugalii, mocno już znużonej tłokiem w Lizbonie i Porto, na plażach Algarve i klifach Madery. Wszystko wskazuje, że ubiegłoroczny pułap 10,2 mln turystów zostanie w tym roku przekroczony przynajmniej o 10 proc.

Ale to nic w porównaniu z Hiszpanią, która staje się ofiarą swojego sukcesu (patrz napisy na murach w Barcelonie: „Turist Go Home”). Przygarnie pewnie w tym roku rekordowe ponad 70 mln obcokrajowców, w pierwszym półroczu było ich już o 12 proc. więcej niż przed rokiem (kiedy też padł rekord). Zwiększone przyjazdy Francuzów i Niemców rekompensują 30-proc. ubytek Rosjan.

Natomiast – relatywnie – turystycznym liderem Europy okazuje się Islandia. Licząca 330 tys. mieszkańców, będzie gościła w tym roku 1,7 mln turystów zagranicznych (w ubiegłym było 1,28 mln). Gospodarze uważają, że to promocyjny skutek tegorocznych piłkarskich mistrzostw Euro, ale i generalnie moda. Islandia jest tak genialnie fotogeniczna, że trudno jej się oprzeć. Skutek: hotelowych rezerwacji trzeba dokonywać przynajmniej z półrocznym wyprzedzeniem.

A ten jak ma na imię?

Satyra nie musi dotyczyć Mahometa, aby wywoływała burzę. Australijczycy właśnie debatują z zacięciem nad rysunkiem, który ukazał się w konserwatywnym „The Australian”. Policjant przyprowadza syna, który coś przeszkrobał, aborygeńskiemu tacie, który trzyma puszkę piwa i ma trochę mętny wzrok. „A ten jak ma na imię?” – pyta tata policjanta. No i zaczęło się. Głosy oburzonych mediów i polityków, że to czysty rasizm, powielanie uprzedzeń i krzywdzące upowszechnianie uogólnień, że wszyscy Aborygeni to źli ojcowie i pijacy. Do tego akcja w internecie: „jestem dumnym tatą Aborygenem i wiem, jak mają na imię moje dzieci”, poparta fotografiami, oraz szereg głosów znanych osób publicznych, pochodzących z tego środowiska, w obronie tegoż; a z drugiej strony (dobrze nagłośniony) bojkot gazety przez reklamodawców. Która to, piórem naczelnego, broniła rysunku i „była dumna, że przyczynił się do tak ożywionej debaty w kluczowej kwestii dotyczącej młodzieży aborygeńskiej”. A kwestia jest rzeczywiście drażliwa, co uwiidocznili niedawno wstrząsający dokument o młodych rdzennych Australijczykach molestowanych w zakładach zamkniętych. Aborygeni stanowią 3 proc. ludności Australii i ponad połowę zatrzymanych poniżej 17. roku życia.

Cham uskrzydłony



Elity niby walczą z chamami, a chodzi o to, że zwykli Polacy im śmierdzą. Tak ładnie ustawił to PiS, usprawiedliwiając politycznie chamstwo i wpędzając w poczucie winy tych, którzy ośmielają się je zauważyć.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

P aństwo naśmiewają się z prostaczków, z ich obyczajów, także wakacyjnych, z picia piwa, skarpet do sandałów, słuchania disco polo, zanieczyszczania wydm, nieczytania niczego, ale w istocie pogardzają Polakami i polskością. Oderwali się od prawdziwego życia, nie rozumieją pulsu narodu, który bije w zwykłych, tradycyjnych rodzinach. A te chcą żyć, tak jak chcą. Tak ostatnie spory o chamstwo, brak wychowania, hejt, ksenofobię ukazuje propaganda skupiona wokół rządzącej dzisiaj formacji. Zaczęło się mniej więcej od wywiadu prof. Zbigniewa Mikołajki, który przywołał figurę Edka, sprytnego i bezwzględного prostaka z „Tanga” Sławomira Mrożka. Mikołajko dowodził, że władza PiS wywołuje i ośmiela takie postawy, choć zastrzegł, że nie chodzi

o klasowość, ale o mentalność, bo Edkiem może być zarówno żul, jak i profesor. Jednak wylała się na niego fala nienawiści, podobnie jak na prezenterkę Agatę Młynarską, która podzieliła się na Facebooku niemiłymi wrażeniami z pobytu nad Bałtykiem. Obojgu proponowano wyniesienie się z kraju, skoro naród się nie podoba. Mikołajko bronił swoich racji, ale Młynarska najwidoczniej się wystraszyła i przeprosiła. Zresztą zaatakowali ją także inni telewizyjni celebryci, z dumą obnoszący się z akceptacją radosnej prząsności. Wyraźnie zmienia się atmosfera, społeczny klimat przyzwalający na „naturalną ekspresję” i nieumiarkowany język.

Chamstwo było i jest społecznym faktem. Prostactwo, bezczelność, nieokrzesanie, brak manier, empatii, szacunku dla innych zdarzały się zawsze, i właśnie w walce z takimi cechami stworzono kanony zachowania, mówienia, reguły grzeczności. Miało to poprawiać jakość życia, łagodzić międzyludzkie relacje. Jakoś w końcu funkcjonowały mechanizmy zawstydzania, piętnowania. Chamstwo oficjalnie pozostawało na marginesie, walczone z jego przejawami.

Ale dzisiaj chamstwo przestaje być zwykłym chamstwem, a staje się poważną postawą polityczną. Jest teraz oznaką sprzeciwu i oburzenia na poprzedni porządek, na władzę establishmentu, narzucanie obcych wzorców. Chamstwo, grubiaństwo, brak wychowania i przyzwoitości zostały zaprzęgnięte do ideologicznego projektu. Teraz to jest przejaw szczerości, autentyzmu, nieskrywanych wreszcie emocji. Edek, którego przypomniał Mikołajko, staje się nowym proletariuszem „dobrej zmiany”. On ma szydzić z profesorów, śmiać się z inteligenckich konwenansów, z „eurohomosiołów”, z „ciapatych”, z „papieża z Czerskiej” (zaczepnięte z zaangażowanych forów). Władza nie musi się przyznawać do Edka ani mówić jego językiem (choć potrafi), ale Edek – co wyraźnie widać – jest wliczony do planu jako podwykonawca. Jak to się mogło udać? Są tego głębsze przyczyny.

Słabnięcie elit. Atak PiS i pozostałej radykalnej prawicy na elitę III RP ma charakter nie tylko polityczny i ideologiczny, ale także moralny. Chodzi o zanegowanie siły wzorcotwórczej dotychczasowych elit. Jeśli myliły się politycznie, nie mają instynktu narodowego, są z gruntu złe, to zasady, gusty, modele zachowań, hierarchie, jakie proponowały, też się nie liczą. Kryteria chamstwa, grubiaństwa, niedopuszczalnych słów i reakcji są przedstawiane teraz jako klasowe, uzurpatorsko narzucone, a niesłusznie przedstawiane przez elity jako obiektywne. Wzorce, które próbowały one zaszczepić, są traktowane jako przegrana, nieobowiązująca opcja.

W retoryce dzisiejszej władzy widać wyraźnie przeciwstawienie autentycznego, spontanicznego w wyrażaniu wartości i emocji ludu wyszerzonemu, kosmopolitycznemu pseudoelitom. Następuje powrót do korzeni, dowartościowanie „polskiego obyczaju”, autentycznych rytuałów, pierwotnej wrażliwości. Władza zdaje się mówić do Polaków: bądźcie wreszcie tacy, jak chcecie, jacy w głębi duszy naprawdę jesteście, co chcieli zmienić przewrażliwieni na punkcie opinii Zachodu „tak zwani opiniotwórcy inteligenci”. Już można – równanie do zbankrutowanej Europy odwołane.

Na pewno sprzyja temu kryzys tej części świata, ale też postawy części elit III RP. Stale słysząc z ich strony: „byliśmy głupi”, „byliśmy ślepi”. Podważane są już nie tylko rzeczywiście błędne, jak się po czasie okazało, decyzje, ale w zasadzie cały dorobek ostatniego ćwierćwiecza, nie tylko ekonomiczny, ale także kulturowy i prawny. Wprost stwierdza się, że nie ma powrotu do dawnych czasów, że trzeba zmienić wszystko. To totalne samobiczowanie się tylko potwierdza diagnozę prawicy, że elity się kompletnie posypały, straciły pewność siebie, nie mają zatem żadnej moralnej siły, aby cokolwiek proponować w jakiegokolwiek dziedzinie. Widać zatem specyficzną, bo politycznie manipulowaną, „zemstę prowincji” na metropoliach, jej gustach, regułach, kodeksach zachowań, życiowych priorytetach.

W optyce siły rządzącej to prawdziwie polska prowincja daje popalić skostniałej, pełnej kompleksów wobec Zachodu, inteligenckiej elicie. Nawet Grzegorz Schetyna, lider Platformy Obywatelskiej, powiedział niedawno w wywiadzie dla „Do Rzeczy”, że wyborów nie wygrywa się na Wilanowie, ale w Końskich. To dowód jego pragmatyzmu, ale też jeszcze jedno potwierdzenie zwycięstwa polskiej prowincji, którą wykorzystuje i pobudza do swoich celów PiS. I tego, że metropolie znalazły się w marazmie i zagubieniu. Przy czym rzecz należy widzieć nie tylko geograficznie, także sieciowo, choćby w internecie, gdzie erupcja chamstwa jest największa. Ono zyskało narzędzie i przestrzeń dla swojej ekspresji, mogło bezkarnie zaatakować dominujące do tej pory hierarchie, wartości i obyczaje.

Odrzucenie politycznej poprawności. O konieczności takiego odrzucenia politycy PiS mówią bardzo często. To zatem, co jest niesłusznie nazywane chamstwem, w istocie jest prawdziwie demokratyczną wolnością słowa. Wreszcie można mówić otwartym tekstem: że się nie lubi obcych, że gej to jednak pedał, że kara śmierci by się przydała, że papież nie jest w porządku, że najlepsze miejsce kobiety jest w domu, że Polacy są bez skazy. Poprawność polityczna, stworzona po to, by nie ranić uczuć innych, jawi się teraz jako kaganiec nałożony na spontaniczną ekspresję obywateli, którzy mają prawo mówić, co naprawdę myślą. Jeśli to jest krzywdzące, grubiańskie, chamskie, niesprawiedliwe, to trudno, trzeba się z tym zmierzyć, bo tak myślą ludzie.

Klasyczny przykład takiego myślenia widać w niedawnym wywiadzie z Piotrem Gursztynem, dyrektorem kanału TVP Historia, który zapytany w „Kulturze Liberalnej” o wypowiedzi minister Anny Zalewskiej, niepotrafiącej przyznać, kto dokonał mordu w Jedwabnem, odpowiada: „Strona liberalno-lewicowa może narzucać swoje zdanie, ale nie może nie uwzględniać faktu, że duża część opinii publicznej nie zgadza się z jej interpretacją. Możemy uznać, że ci ludzie się myślą, są jednak przekonani do swoich racji. Polityk musi uwzględnić ich wrażliwość. Jeśli Anna Zalewska zacznie głosić poglądy liberalne w tej kwestii, to przestanie reprezentować dużą część wyborców. Pojawi się wtedy nowy polityk, który ich będzie reprezentował. Pani minister Zalewska, znając wrażliwość części Polaków na te tematy, migąła się od odpowiedzi”.

Z tej dość w sumie niesłychanej odpowiedzi jasno wynika, że udział Polaków w zbrodni w Jedwabnem to „liberalna interpretacja” i że „wrażliwość” tych, którzy negują tę historyczną prawdę, musi być publicznie reprezentowana. Można rozumieć, że Gursztyn takie nowe interpretacje będzie w rządowej telewizji pokazywał. Jego rozumowanie prowadzi do absurdalnych wniosków. A co zrobić na przykład z antysemityzmem, który ma swoich wyznawców? Także uszanować tę „wrażliwość”?

To tylko pozornie odległy przykład, bo jest to kwintesencja odrzucenia już nie tylko poprawności politycznej, ale także faktów, jeśli lud życzy sobie inaczej. W przestrzeni publicznej może się więc pojawić równoprawnie każda opinia, nawet najbardziej absurdalna, ponieważ stoi za nią jakaś grupa obywateli. Prawda może być głosowana tak samo jak ustawa. Obowiązuje większość. Najlepiej wyraził to ostatnio sam prezes Kaczyński, mówiąc, że całkowita racja jest po stronie PiS i jeśli będzie trzeba, umocni się ją ustawowo. Kiedy nie ma już kryterium prawdy materialnej, zanikają także hamulce w ocenach. Ośmielony takim stanem rzeczy suweren może powiedzieć, co naprawdę myśli, w takim języku, jaki uważa za stosowny, i dostanie brawa za odwagę.

To jest zresztą cały system, który można nazwać realizacją prawa do chamstwa. To wzywanie do walki o swoje, przy czym ci inni są całkowicie obcy, są wrogami, których trzeba unicestwić. Takiej walce służy propaganda i ideologia, polityka ►